

Hrabia sam kierował akcją, przeświadczony, że musiałoby przydarzyć się jakieś wielkie nieszczęście. Baron bowiem pozostawił w pokoju gościnnym w pałacu wszystkie swoje rzeczy w tym stanie, jakby miał być za chwilę zjawić się z powrotem. A nadto do Roźniewa po kilka razy na dzień nadchodziły ważne listy i depesze pilne w interesach bankierskich i fabrycznych to z Warszawy, to z Łodzi, z jego kantorów, albo i z zagranicy odsyłane z Łodzi do miejsca jego chwilowego pobytu, z czego tembardziej można było wnosić, jak były niecierpiące zwłoki...

— Stanowczo nieszczęście jakieś musiało im się przydarzyć — zapewniał hrabia Roźniewski strapienemu, tam i z powrotem włócząc się po parku ze służbą, która właściwie nie wiedziała już, co ma tam robić, ponieważ nie pojmowała, jakby mogło dwóch ludzi dorosłych zgubić się w ogrodzie bez śladu.

— Przecież to nie szpilka — powtarzał ekonom, skrobiąc się w głowę.

Wreszcie przyszło coś na myśl hrabiemu i powiada:

— Jedno jeszcze przypuszczam. Miał baron zwyczaj zawsze nosić ogromny złoty łańcuch przy zegarku i palce miewał stale ubrylantowane, na każdym jakiś kosztowny pierścień... Na to mógł się ktoś złakomić... Mógł go jakiś rozbójnik napaść, a w razie obrony — zamordować dla obrabowania... To się mogło ostatecznie przydarzyć gdzieś na kresach parku, kędy zawieruszył się jakiś włóczęga...

Służba perswadowała, że w najbliższej okolicy zamku nie zdarza się nigdy, by się jacyś rozbójnicy włóczyli, a tem mniej, żeby odważyli się w celach rabunku, tak blisko pałacu, zabić aż dwóch mężczyzn.

Mimo to kazał hrabia przeszkukać jak najdokładniej zarośla na kresach parku rozległego. Zaglądano pod każdy krzak, wdzierano się w gęstwiny, której od lat wielu nie deptała nigdy noga ludzka.

Na ślady niczyje nie natrafiano wszakże i w dalszym ciągu.

Pies leśniczego wałęsał się z nimi wszędzie, ale zachowywał się zupełnie obojętnie.

— Dopóki mój Pegaz spokojny, nie mamy tu czego szukać — odezwał się leśniczy.

To też kiedy wszyscy weszli wraz z psem na wzgórek, na którym stała stara kaplica zamkowa, leśniczy był bardzo zaintrygowany, widząc, że Pegaz objawia jakiś dziwny niepokój.

— A jednak tutaj Pegaz coś węszy... Może mu idzie o co innego, niż nam, ale w każdym razie trzeba na niego uważać...

Służba dworska zaglądała w zarośla, pilnie szukając trupów bankiera i jego sekretarza.

I do kaplicy zajrzano, lecz przekonano się ła-
two, że drzwi nawet były nie otwierane...

Leśniczy wszakże na nic nie zważając, szedł za psem krok w krok... Pegaz obwąchał kamień, który zamykał wejście do krypty z grobami rodziny Roźniewskich, poczem pobiegł żywo w owe gęste zarośla, które zajmowały całą tylną część wzgórza.

Leśniczy poszedł za nim.

Pies zarył się w gąszcz, a jego pan coprędzej rzucił się też w krzaki, przedzierając się przez trudne do przebycia, posplatane z sobą gałęzie, kłami najeżone...

— Z psem trzeba tu było przyjść zaraz pierwszego dnia — odezwał się sam do siebie leśniczy, zaintrygowany w najwyższym stopniu.

Znikł mu Pegaz z oczu, więc krzyknął na niego. Pies przyskoczył mu nagle do nóg, trącił go pyskiem w cholewę wysokiego buta i zaraz zniknął znowu, naszczekując zcicha.

Za jego głosem posuwał się z trudem leśniczy dalej, zaszywając się zupełnie w gęstwinie. Aż wreszcie przystanął przed żelaznymi drzwiami do głębokiego podziemia, które dobrze już znają nasi Czytelnicy.

Dla niego wszakże była to zgoła rzecz nowa i zdumiewająca.

Tyle lat tu był leśniczym, a pierwszy raz do-
wiedział się o istnieniu owych drzwi tajemnych. Co prawda, życie jego upływało w lesie jedynie. Ale bądź co bądź, znał przecież i cały park na wylot, znał doskonale i ową kaplicę staroświecką, wiedział, że się pod nią mieszczą grobowce rodzinne hrabiów Roźniewskich, był parę razy świadkiem otwierania i zamykania krypty na pogrzbach, do której wchodziło się, jak wiadomo, z boku kaplicy. Tylko tam nigdy nie zajrzał w zarośla pod tylną ścianą. Ot, gęstwiną była zawsze jednaka

na tyłach pagórka, więc i pocóż było tam zaglądać...

Teraz dopiero ogarnęło go silne zaciekawienie w tem tajemniczym ustroni. Od razu nabrał przeświadczenia, że skoro Pegaz go tu przywiódł, musiało tu być coś podejrzanego.

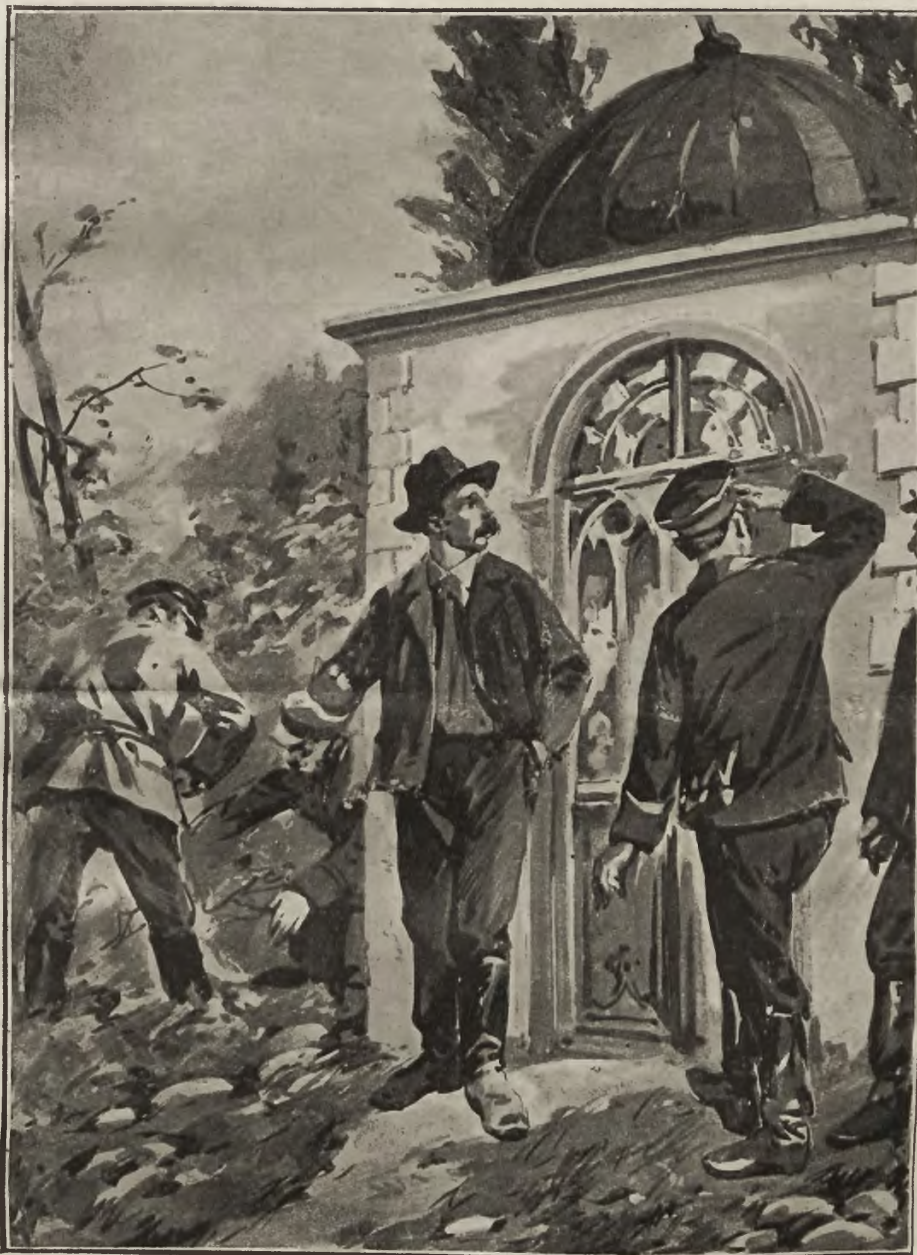
— Może tu wcale nie natrafimy na ślady barona ni jego towarzysza, ale za to znajdziemy tutaj coś niespodziewanego... A zresztą, kto wie, może tu akuratnie stało się jakieś nieszczęście tym dwom panom...

Pies głucho warczał, obwąchując wąskie drzwi żelazne, przymknięte. Leśniczy przyglądał im się ciekawie i zauważył, że w koło progu są widoczne ślady niedawnej bytności ludzi w tem miejscu.

Spróbował drzwi uchylić, lecz napróżno.

Wyszedł więc z gęstwiny, zbliżył się do hrabiego i zdał mu sprawę z tego, co zauważył.

— Przecież nie sposób — rzekł na to Roźniewski — by ci panowie siedzieli od kilku dni w podziemiach...



Służba dworska zaglądała w zarośla, pilnie szukając trupów bankiera i jego sekretarza.

— Więc może tam zginęli, może trupy ich tylko znajdziemy...

— Ależ po co mogłby tam chodzić pan Goldenthal...

— Może tylko z ciekawości, proszę jasnego pana, a potem wyjść już nie mogli...

— Wszystko to możliwe, ale nie pojmuję, jakim cudem mogli się tam dostać... Tych drzwi, od lat Bóg wie ilu, nikt nie otwierał i nikt nie potrafiłby otworzyć...

— A jednak, panie hrabio, te drzwi zostały otwarte niedawno i napewno w tych dniach byli tam jacyś ludzie... Są przecież ślady wyraźne, świeże... Drzwi zamknięto na nowo, ale szyję dam za to, że były otwierane...

I zwołał służbę, żeby w zaroślach utorowała o ile możności przejście tymczasowe dla hrabiego, który wówczas udał się na miejsce wskazane.

Tu pies już szczekał głośno, niecierpliwiąc się widocznie.

Pracowano długo i mozolnie, zanim udało się otworzyć ciężkie drzwi żelazne.

Wszyscy z przejęciem i zaciekawieniem zajrzeli do środka. Hrabia, pierwszy chciał próg przekroczyć, lecz cofnął się z miejsca.

Tuż przed nim leżał u stóp drzwi w kałuży

krwi zakrzepłej baron Goldenthal bez znaków życia, widocznie poraniony.

Poszukiwać jego sekretarza nie przyszło już na myśl nikomu wobec tego. Domyślono się bowiem, co zaszło. To młody kantorowicz dla obrabowania swego pryncypała, musiał go zamordować.

Hrabia Roźniewski drżał na całym cieple. Osłupiałym wzrokiem spoglądał przed siebie.

— Co jasnie pan rozkaże — spytał leśniczy, lecz dziedzic milczał w zamyśleniu.

Nachylił się wtedy leśniczy i obmacał ciało barona.

— Zimny, panie hrabio, ale jeszcze żywy... jak Boga kocham... serce jeszcze nie zamarło...

Aż odetchnął na to hrabia uradowany i pocieszony.

— No, to jeszcze mniejszy kłopot — pomyślał sobie — skoro baron daje znaki życia. Może go się uda docucić...

I natychmiast kazał przenieść go stamtąd do leśniczówki, do której było bądź co bądź bliżej niż do pałacu.

— Tylko nakaz pan ludziom — tu zwrócił się do leśniczego — żeby mi żaden pary z ust nie puścił o całej historii...

Na leśniczówce obmyto z krwi i błota ciało barona, rozebrano go i położono do łóżka, poczem wzięto się do cucenia nieprzytomnego.

W sąsiedniej izbie oczekiwał hrabia tej chwili z nietajoną niecierpliwością.

— Otworzył oczy — szepnął mu nagle od progu leśniczy.

Roźniewski zerwał się z krzesła i przeszedł żywo do łóżka, na którym właśnie poruszył się z trudem Goldenthal.

— Reman... ten łotr — były pierwsze słowa, jakie wydarły się z ust barona.

Hrabia zamienił wzrok porozumiewawczy z leśniczym. Podejrzenia ich znalazły więc potwierdzenie.

— Okradł mnie — powtarzał dalej baron słabym głosem — zbój... łotr... Reman... moje pieniądze...

A dalej już bełkotał coś niezrozumiale i zapadł w nowy sen.

Kiedy przybył w pięć godzin później zawezwany z najbliższego miasta lekarz, uspokoił się hrabia jeszcze bardziej, ponieważ doktor zapewnił, iż rany Goldenthala nie

są niebezpieczne i życiu jego bezwarunkowo nie zagraża niebezpieczeństwo.

To też Roźniewski przestawszy martwić się tą sprawą, zaprzął myśli swoje pytaniem, które uporczywie narzucało mu się od pierwszej chwili — dlaczego, po co i jakim sposobem dostał się baron Goldenthal do owego tajemniczego podziemia.

Była to jednak zagadka nie do rozwiązania.

Lekarz pozwolił wkrótce przenieść barona z leśniczówki do pałacu, gdzie umieszczono go w jego pokoju.

Tu chory rychło odzyskał w zupełności przytomność, ale trudno było dowiedzieć się od niego czegoś więcej nadto, że Reman go obrabował.

Na wszelkie pytania dawał z łóżka tak niejasne odpowiedzi i tak się wikłał w nich ciągle, że lekarz prosił hrabiego, by nadal pozostawić choro-
rego w spokoju i nie męczyć go pytaniami.

— W każdym razie trzeba będzie dać znać policji i kazać ścigać Remana — odezwał się na to Roźniewski.

Lecz baron usłyszawszy jego słowa, aż się rzucił na posłaniu niecierpliwie i siłać się na mówienie, używał wszelkich sposobów, by powstrzymać hrabiego od wzywania w tej sprawie policji lub robienia doniesień do władz. (C. d. n.)